



# Czarownice są wśród nas

zilustrowała Joanna Kłos

*Polscy pisarze dzieciom*



## Czarownice są wśród nas

© by Wydawnictwo Literatura

Okładka, ilustracje, układ graficzny:  
Joanna Kłos

Korekta:  
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-501-7

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2017  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630 23 81  
faks (42) 632 30 24  
www.wyd-literatura.com.pl



1.  
Joanna Papuzińska  
**Druhna  
ciotunia**

Już trzeci wtorek pod rząd zostawaliśmy po lekcjach na zbiórkę, a tymczasem druhny nie było. I zawsze kończyło się tak samo. Kiedyś już włączali czwarty bieg rozbrykania, kiedy robiło się naprawdę superwesoło, nadchodziła ciotunia i wyrzucała nas do domu.

Kto to jest ciotunia, ciocia czy też ciotka, dla tych mniej eleganckich w mowie, to chyba zupełnie jasne. Ciotunia rządzi szkolnym dzwonkiem, szkolnym odkurzaczem i froterką, posiada władzę nad królestwem kluczy a także przedmiotów zgubionych, a raczej zawieruszonych, które w szkolnej zawierusze raz po raz się zawieruszają i nikt niewtajemniczony nie jest w stanie ich odwieruszyć.



Każda szkoła ma więc swoją ciotunię, a niektóre nawet i po kilka. Bywają różne: miękkie, dobrotliwe i współczujące, gniewne, zrzędne albo nawet i obojętne, chociaż to się zdarza najrzadziej. Te obojętne szybko odchodzą, nie mogą jakoś zagrozić w szkole miejsca.

Ta ciotunia była stosunkowo nowa i jeszcze nie dość ją znaliśmy... Jej nos dążył do tego, żeby jak najszybciej spotkać się z brodą, a znów broda z całych sił wyteżała się, aby dotknąć nosa, tak jakby miały sobie coś bardzo ważnego do powiedzenia. Miała trochę dziwne, przenikliwe spojrzenie, budzące posłuch, ale nie była specjalną zrzędą.

Tego dnia bawiliśmy się w Ziemian i Marsjan. Ziemianie siedzieli w statku kosmicznym, to jest w boksie szatniowym, na dodatkowych umocnieniach z palt i kurtek, i razili Marsjan ogniem swoich laserowych dział. Marsjanie atakowali statek

przez właz, a Ziemianie zatrzaskiwali go w ostatniej chwili. Metalowe drzwi rąbały z hukiem o futrynę, aż lakier sypał się nam na głowy.

Nie mogąc sforsować włazu, Marsjanie pluli na Ziemian przez siatkę, twierdząc, że trująca ślina marsjańska zaraz sparaliżuje Ziemian i kosmos zwycięży.

– Co się tu dzieje?!

– zakrzyczała ciotka. – Natychmiast powieście płaszcze na wieszakach. To świństwo pluć komuś na ubrania!

Rzeczywiście, trochę przeholowaliśmy, więc zaczęliśmy płaszcze podnosić i wieszać. Ciotunia postąpiła chwilę nad nami,





pomruczała, a potem stwierdziła, że jak skończymy sprzątać, mamy zaraz iść do domu. I poszła na górę.

Już prawie kończyliśmy wieszanie, ale nagle Marsjanie stwierdzili, że właściwie wdarli się do środka, bo przecież drzwi od boksu były teraz otwarte. Marek chwycił czyjś worek i zamłynkował nim.

– Kosmos zwyciężył! – krzyczał.

Na to Antek złapał pierwszy lepszy płaszcz i zarzucił mu na jego głupi marsjański łeb. I znów rozgorzała walka i w jej wirze wcale nie zauważyliśmy, że ciotunia wróciła, stanęła w drzwiach i patrzy.

Ona była nowa, więc jeszcze nie miała wyrobionej takiej cierpliwości, jaka jest potrzebna do dzieci szkolnych. Nie mogła na to patrzeć długo i krzyknęła:

– Znów to samo! Nie mam już do was siły!

# Bodaj was

Odwróciła się na pięcie i wyszła.

– Słuchajcie! Poszła na pewno po panią! – krzyknął ostrzegawczo Karol. Wyskoczył z boksu, uniósł ręce do góry i zaczął nagle kręcić się wokół własnej osi jak baletnica na lodzie.

Chcieliśmy krzyknąć: „Karol, nie wydurniaj się!”, ale nagle poczuliśmy wszyscy, że wstępuje w nas jakaś dziwna siła obrotowa, że nasze ręce także unoszą się do góry, że wypływamy

# pokrećciło!





z boku na korytarz i zaczynamy się kręcić, kręcić, kręcić jak kolorowe blaszane baki, których dorośli używają do wprawiania w osłupienie swoich małych dzieci.

Po prostu coś nami kręciło od środka. Nie było to nawet nie-miłe, było tylko całkiem niepojęte i dlatego mieliśmy trochę stracha, i spoglądaliśmy na siebie głupawo.

W dodatku miała przyjść nasza pani, albo nawet i dyrektor, i nie wiadomo było, co wtedy poczniemy i jak się będziemy tłumaczyć.

– Cha, cha, cha, wirówka kosmiczna! – ryknął nagle śmiechem Krzysiek Hinc, zwany zwykle Chińczykiem, i próbował obrócić wszystko w żart. Ale wiedzieliśmy, że to było wymuszone, udane śmianie, bo śmianie prawdziwe jest przecież zaraźliwe, od razu udziela się innym. A takie śmianie sztuczne nikogo nie zarazi.

Trwało to wszystko niedługą chwilę, bo zaraz w drzwiach znowu stanęła ciotunia i złapała się za głowę:

– Co ja narobiłam! Ołicęrkop saw jadow!

I wszystko się zatrzymało.

– Nic się wam nie stało?  
Nikt się nie uderzył, nie  
potłukł?

Podbiegła do nas  
i zaczęła nas ob-  
macywać, głaskać  
i klepać, a my po-



upadaliśmy na podłogę, a podłoga kołysała się jeszcze lekko pod nami, bo zawsze tak jest, kiedy człowiek się mocno rozkręci, a potem nagle zatrzyma.

– Stracę przez to posadę!  
Całkiem dobrą robotę! –  
martwiła się ciotunia nie  
na żarty.

– Ale dlaczego? Co się  
stało? My nic nie rozumie-  
my! Niech ciocia nam powie!

– O czym tu mówić! – mar-  
twiła się dalej. – Zezłościłam  
się na was niepotrzebnie, no i nie-  
chcący... wstyd i tyle! Całkiem dobrą  
posadę!

– Ale cooo?! – wołaliśmy chórem.

– No, jak to co? Przecież powiedziałam: „Bodaj was pokręci-  
ciło”. No i stało się... Pokręciło was króciutko, bo coś mnie  
tknęło... Szłam po dyrektorkę, jednak zawróciłam... ale i tak  
wszystko przepadło!

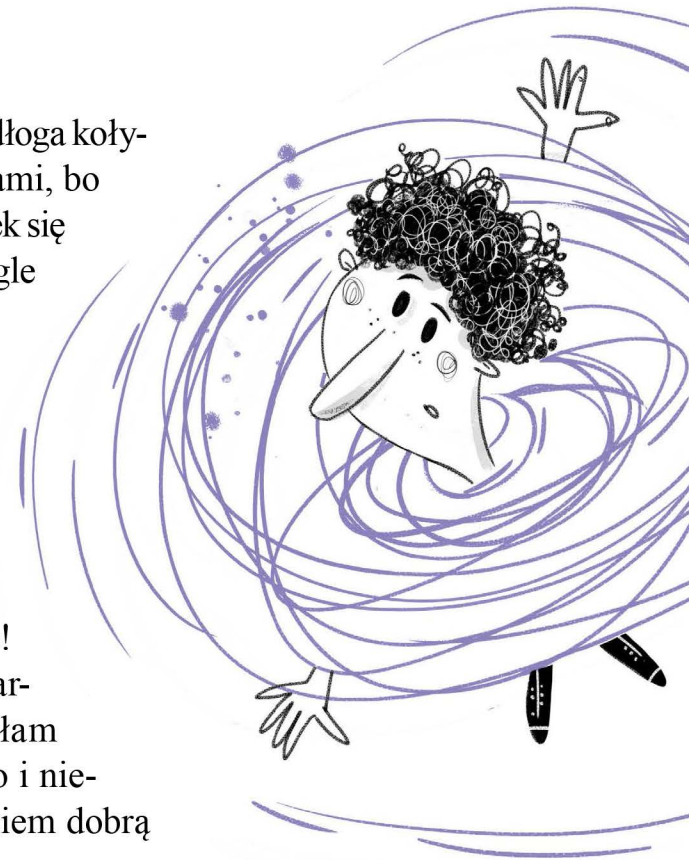
– To ciocia nas zaczarowała, czy jak?

– No, niechący, przecież mówię!

– A mogłaby ciocia jeszcze raz tak zrobić?

– Za nic na świecie! – krzyknęła.

Ale zaczęła patrzeć na nas jakimś innym okiem i nad czymś  
się zastanawiać, i nie była już taka przerażona.



– Ale my nikomu nic nie powiemy! Ciociu! Ciocia nam jeszcze coś pokaże! Ciocia nas tego nauczy!

– A wy się nic nie boicie?

– Nie!!!

– I nikomu nie powiecie ani słówka?

– Jasna sprawa!

– Aha – powiedziała ciotunia. – Uczyć to ja was nie będę, nie ma mowy. Nie dla głupiego czary. Ale możemy się umówić: wy coś dla mnie, a ja coś dla was. Tylko cicho sza przed wszystkimi! – spojrzała z namysłem przez szkolne okno. – Skopcie te grządki, to może coś wymyślę – wskazała ręką na szkolny ogródek.

– A łopaty? – spytaliśmy tylko.

– Dam – odpowiedziała krótko. Otworzyła schowek, dała nam łopaty, wyszła na podwórze i pomogła wytyczyć grządki, a potem zniknęła.

Kopanie poleciało nam szybko. Potem porozsiadaliśmy się na ławkach, bo nas to trochę zziąjało.

Ciotka przyszła, spojrzała na nas i sięgnęła do kieszeni fartucha. Wyciągnęła paczkę gum do żucia, potem policzyła, przełamała każdą na pół i podsunęła nam na dłoni.

– Macie, poczęstujcie się.

Wsadziliśmy sobie gumy do ust i zaczęliśmy poruszać szczękami. A ona rozejrzała się po grządkach i pochwaliła nas, że są porządne.

– Nie mogę znieść, jak ziemia na wiosnę dziczeje. A w dodatku w mieście. Jutro trzeba by coś posadzić i posiać, toby jeszcze zdążyło porosnąć. Na przykład nasturcje. Te ogniste, z trąbkami. Znacie je? Mają dziwne właściwości. Nazywają je „kwiatami

chichotu”, bo kto wyssie sok z wielu kwiatków, może się nabawić niepohamowanego śmiechu na godzinę co najmniej.

Rusaliśmy szczękami i patrzyliśmy na ciotunię z pewną niecierpliwością, bo ostatecznie jej ogródkowe zamiłowania nie tak bardzo nas obchodziły. Ktoś przez grzeczność bąknął:

– Można by jutro przyjść i posadzić...

– No, to dmuchajcie – powiedziała ciocia. – Dmuchać, na co czekacie?

Zorientowaliśmy się po chwili, że chodzi o balony. O to, że nasza guma dojrzała już do balonowania.

